

Rozdział 2.

„Pod Wierzbami”

Do Wrocławia dotarliśmy po trzech godzinach jazdy. Zmęczone i poobtlukiwane, bo samochód niezbyt sobie radził na wertepach. Jechaliśmy długą drogą między starymi, szarymi budynkami. Na razie nie wyglądało to zachęcająco. Postanowiłam się jednak nie poddawać i nie myśleć o lesie, w którym zakwitają właśnie pierwsze, wrześniowe wrzosey.

— Już prawie jesteśmy — powiedziała mama, rzucając niespokojne spojrzenie na zegarek. — Trochę się przeciągnęło, ale grunt, że dojechaliśmy całe i zdrowe. Jesteś głodna?

Oj, byłam. Chętnie wrzuciłabym coś na ruszt, ale kanapki już się skończyły, a karton z przekąskami tkwił na tylnym siedzeniu pod dwiema walizkami.

— Nie bardzo — skłamałam zatem, ale rozgrzeszyłam się, bo to było kłamstwo w słusznej sprawie.

Jechaliśmy w milczeniu, bo mama skupiała całą uwagę na drodze. Chyba dojechaliśmy już do centrum, na co wskazywał widok strzelających w niebo wieżowców oraz zagęszczenie samochodów, tramwajów i autobusów. Hałas był niesamowity. To akurat zupełnie mi się nie podobało.

Stanęliśmy na czerwonym świetle i przygotowaliśmy się do skrętu w prawo. Mama rzuciła okiem na okienko gadającego urządzenia, które prowadziło ją przez całą drogę. Bez niego nie dałybyśmy rady dojechać na miejsce. Wprawdzie mama wychowywała się we wrocławskim sierocińcu, ale to było dawno temu, i wiele ulic z pewnością zmieniło nazwy. Zresztą sama jazda samochodem bardzo ją stresowała, a szukanie ulic według mapy czy pytanie w biegu przechodniów w ogóle nie wchodziło w grę.

— *Za skrzyżowaniem skręć w lewo* — powiedział teraz usłużny damski głos. — *Jedź prosto. Przygotuj się do zjazdu na drogę podporządkowaną...* — i tak w kółko.

Nudne to było niesamowicie, więc wyłączyłam uwagę. Patrzyłam na mijane ulice, wysokie szklane siedziby jakichś ważnych organizacji, wielkie ogłoszenia podświetlane reflektorami i rzędy domów, dużych i małych, szarych, kremowych lub

całkiem odjechanych, malowanych w dziwne kolory i wzory. Było ciekawie, ale zaczynało mnie to przytłaczać. Dopiero teraz zaczęło do mnie docierać, że naprawdę będziemy tu mieszkać.

— Majka, obudź się! Prawie jesteśmy na miejscu!

— Wcale nie śpię — mruknęłam i usiadłam prosto, a serce biło mi mocno, jak zawsze, gdy się denerwuję.

Najgorsze, gdy człowiek nie wie, czego się spodziewać.

„Ty tchórz! — wytknęłam sobie. — Ty wstrętne tchórzycy! Weź się w garść i przestań mamrać”.

No więc przestałam. Najwyższy czas, bo mama wjechała w niewielką, ciągnącą się wzdłuż fosy ulicę. Po drugiej stronie zobaczyłam szeroką sylwetkę jakiegoś długiego budynku. Mogłabym przysiąc, że gdzieś już go widziałam.

— Mamo, co to jest?

— Uniwersytet — odpowiedziała, rzucając szybkie spojrzenie w tamtą stronę.
— We Wrocławiu pełno jest pięknych miejsc. Sama zobaczysz. Będziesz zachwycona.

Dodała mi animuszu. Sama też wydawała się podekscytowana. Jej krótkie, jasne włosy były zmierzwiłone, a policzki zarumienione z przejęcia.

— Proszę pani, witamy na miejscu — powiedziała do mnie uroczyście, parkując przy chodniku, z którego wąski zjazd prowadził na niewielki hotelowy dziedziniec. — Ulica Nadrzeczna.

Żeby nie było żadnych wątpliwości, tuż przy ulicy stał wysoki, drewniany słup ze strzałką wskazującą wjazd na dziedziniec i napisem „Witamy w hotelu *Pod Wierzbami*”.

— Może tam wjedziemy? — zaproponowałam, ale mama pokręciła głową.

— To wjazd dla gości. Nie wiem, czy możemy — powiedziała. — Najpierw się przywitamy. Wsiadaj, Maja.

Po tylu godzinach jazdy wyjście na świeże powietrze było prawdziwym błogosławieństwem.

— Nogi mi zdrętwiały — zakomunikowała mama, przeciągając się, aż w kościach zatrzeszczało. — Już niedługo będziemy mogły coś zjeść i położyć na łóżku. Niezła perspektywa, prawda?

Puściła do mnie oczko i podrałowała naprzód. Pośpieszyłam za nią, bo bardzo byłam ciekawa naszych nowych włości. No i oczywiście wierzb, których powinno tu być zatrzęsienie. W końcu nazwa zobowiązuje — „Pod Wierzbami” — tak czy nie?

Podjazd nie był zbyt długi, więc dojście do budynku nie zajęło nam wiele czasu. Dobrze się stało, bo potrzebowałyśmy go do dokładnego przyjrzenia się miejscu, w którym miałyśmy spędzić długie miesiące. Kto wie, czy nie lata.

— O rany! — westchnęła mama po kilku minutach milczenia. — Co to niby ma być?

— Mnie tam się podoba — powiedziałam szczerze. — Przynajmniej ma jakiś kształt. Twój stary hotel to zwykła szara bryła. Ten jest o wiele ładniejszy.

Mama rzuciła mi mordercze spojrzenie.

— Ładniejszy? — prychnęła. — Chyba trochę przesadzasz. Uważasz, że tak powinien wyglądać poważny hotel?

No fakt. Hotelik nie był arcydziełem architektonicznym. Był za to niesamowicie interesującym miejscem o zdecydowanym charakterze. Jeśli oczywiście można powiedzieć o jakimkolwiek domu, że ma zdecydowany charakter.

Budynek był niewielki, zaledwie jednopiętrowy. Ściany pomalowano na wesoły, jasnożółty kolor. Spadzisty dach, wraz z zadaszeniami dwóch strzelających w niebo wieżyczek, pokrywała jasnozielona dachówka. Białe okiennice powycinane były w fikuśne ząbki, podobnie jak poręcz werandy. Trzy małe schodki prowadziły do jasnobrązowych drzwi.

Gdyby nie przymocowana do daszku werandy biała, drewniana tabliczka z napisem „Pod Wierzbami”, można by uznać to miejsce za mieszkanie jakiejś dziwacznej rodziny.

Kurczę, byłam zachwycona.

— Przynajmniej nie będziesz miała wiele sprzętania — pocieszyłam mamę, która miała taką minę, jakby zamierzała płakać albo wsiąść do wozu i popędzić do poprzedniego — nudnego, szarego — hotelu na skraju miasteczka.

Na szczęście szybko wzięła się w garść.

— Idziemy — zdecydowała. — Nie ma co się gapić bez sensu. Porozmawiamy z właścicielem i zobaczymy, co będzie.

Przez jedną wspaniałą sekundę myślałam o tym, jak by to było cudownie móc wrócić do miasteczka, Wery i lasu. Ale to miejsce było tak interesujące, że właściwie to nie miałam nic przeciw temu, żeby pomieszkać tu choćby jeden miesiąc. Mama myślała chyba o tym samym.

— Jak nam się nie spodoba, zawsze możemy wrócić — powiedziała z przekonaniem. — Nie ma co tchórzyc.

— Ja nie tchórzę — oburzyłam się.

Mama spiekła raka.

— Ale ja tak — przyznała zawstydzona. — I to bardzo.

— Przecież jesteś najlepszą pokojówką po tej stronie kuli ziemskiej — uśmiechnęłam się do niej.

Na jej twarz wróciła zwykła pogoda. Wyprężyła pierś i nawet jakby urosła o kilka centymetrów.

— Zatem do boju!

I bez zbędnego wahania pomaszerowałyśmy wprost do brązowych drzwi. Schodki miło trzeszczały pod nogami, gdy wspinałyśmy się na ganek.

— Stary ten hotel — powiedziała mama z zamyśleniem.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, gdy drzwi otworzyły się z hukiem i w niesamowitym pędzie wypadło z nich kilka dziwacznych postaci. Przemknęły koło nas z pędem kuli wystrzelonej z armaty.

Pierwsza postać przypominała ludzką, z racji dwóch długich nóg i rąk oraz jasnej, postawionej na sztorc czupryny. Za nią pędził kudłaty, czarny pies, szczekając w niebogłosy, aż uszy puchły. Trzecią „kulą” okazała się mała dziewczynka z jasnymi warkoczami, podskakującymi po obu stronach głowy. Szybko okazało się, że cała para wybuchu poszła w dwa pierwsze strzały, bo kula z warkoczami szybko straciła siłę w nogach.

Przebiegła jeszcze kilka kroków, niesiona chyba siłą wiatru, i zatrzymała się pod strzałką z napisem „Pod Wierzbami”.

— Tymeek! — krzyknęła głośno, odwróciwszy się w lewą stronę ulicy, którą popędzili uciekinierzy. — Zobaczysz! Tata da ci popalić!

Tupnęła wojowniczo nogą i pomaszerowała z powrotem. Szła przez podwórze z zaciętą miną generała, który stracił swoją armię, ale nie daje za wygraną.

Przez chwilę myślałam, że zniknie w głębi domu, nie obdarzywszy nas nawet jednym spojrzeniem, jak przystało na dumnego generała, który nie zwraca uwagi na pętających się dookoła cywilów. Ale ona weszła na schodki i zatrzymała się, spoglądając na nas z ciekawością.

Jej mała buzia była zaróżowiona z emocji, oczy niebieskie i okrągłe, jak u lalki. Mimo pościgu zielona sukienka z krótkimi rękawami była elegancko odprasowana, a z warkoczyków nie wystawało ani jedno pasmo. No, no...

— Dzień dobry — odezwała się śmiało jasnym, śmiesznie piskliwym głosem. — Czy panie są gośćmi? Witamy w naszych progach.

Z całej siły przygryzłam wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Ta mała była niesamowita.

Bałam się choćby spojrzeć na mamę. Czyżbyśmy miały przed sobą jej nową szefową?

— Dzień dobry — odezwała się mama, którą wreszcie odblokowało. — Czy rodzice są w domu?

No tak. Trzeba było wejść na wyższy poziom konwersacji. Tam, gdzie do głosu dochodzą dorośli, kończy się wszelka zabawa. Mała też chyba o tym wiedziała, bo z jej twarzy natychmiast znikł błysk zainteresowania.

Przeszła koło nas i wsadziła głowę w półotwarte drzwi.

— Tatooo!!! — rozdarła się jak stara skarpeta. — Jakaś pani przyjechała!!!

Wystawiła głowę i spojrzała na nas nieco obojętnie.

— Zaraz przyjdzie. Musi tylko wydostać się z łazienki. Mama zamknęła go, żeby nie pobiegł za Tymkiem i nie złoł mu skóry. I tak to robi, jak tylko Tymek wyjdzie z szopy. A mama będzie płakać, a potem zrobi jego ulubiony deser, wielką blachę ciasta z jabłkami. Też się załapiemy, bo to baaardzo duża blacha. Lubicie ciasto jabłkowe?

Stałyśmy jak głupie, wpatrzone w tego małego skrzata nadającego jak radio ze świeżo wymienioną baterią. Ile ona mogła mieć lat? Nie znałam się na dzieciach, ale z sześć bym jej dała. Maksimum. Czy w wieku sześciu lat byłam tak wygadana, jak ona? Bardzo wątpliwe.

— To ja już pójdę — powiedziała. — Mama potrzebuje pomocy w kuchni. Pewnie już zaczęła wyrabiać ciasto.

Odwróciła się na pięcie i... BUM! Odbiła się od wielkiej, okrągłej piłki, ze dwa razy większej od jej głowy. Piłka była granatowa, ozdobiona kilkoma czarnymi guzikami.

— Flora, jak chodzisz? — rozgniewała się piłka. — Uderzyłaś mnie w brzuch. Leć do mamy. Potrzebuje cię w kuchni.

Flora wyminęła udający piłkę okrągły brzuch i zniknęła w brązowych drzwiach. Od razu zrobiło się jakoś smutno i mniej zielono. Nie na długo jednak, bo pyzata twarz umieszczona na krótkiej szyi nad brzuchem, była uśmiechnięta i świecąca, niczym księżyc w pełni.

— Dzień dobry — tata Flory uśmiechnął się do nas, wyciągając dłoń i lekko szarpiąc jasnego, niczym zboże, lewego wąsa. — Bardzo przepraszam za zamieszanie. Usiłujemy się jakoś ogarnąć. Mieszkamy tu dopiero miesiąc i jeszcze nie wszystko zapięliśmy na ostatni guzik. A, przepraszam, nie przedstawiłem się — zreflektował się, marszcząc jasne brwi nad niebieskimi oczami: — Tymoteusz Lipski.

Mama wyraźnie odetchnęła z ulgą. Wreszcie świat zaczynał przypominać dobrze jej znane miejsce.

— Adela Kowalska — mama wyciągnęła szczupłą dłoń, którą pan Tymoteusz natychmiast zmiażdżył swoją wielką, piegowatą łapą. — A to moja córka, Maja.

Pan Tymoteusz rozpromienił się. Potrząsał dłonią mamy z taką euforią, jak by chciał ją urwać.

— Ach, to pani! — wyraźnie się ucieszył — Przybyła pani z odsieczą! Bardzo się cieszę, bo sami nie mamy pojęcia, jak się do tego zabrać. Dlatego potrzebowaliśmy osoby zorientowanej w temacie, że tak powiem. Proszę, proszę do środka. Flora powinna zaprosić was od razu, ale straszna z niej gapa. Mam ja z tymi dziećmi, że nie daj Panie Boże. Widzę, że Maja to spokojna dziewczynka. Mam nadzieję, moje dziecko, że będziesz się u nas dobrze czuła i może moje urwisy wezmą z ciebie przykład. Flora to jeszcze, ale Tymek...

Złapał się za głowę, jakby sama myśl o synu doprowadzała go do łupania w czaszce.

Otworzył przed nami drzwi i zaprosił do środka.

— Witajcie w naszym domu... To jest — w hoteliku „Pod Wierzbami”! Z pani pomocą, droga Adelo, przekształcimy go w naprawdę gościnne miejsce. A propos...